EPOKA

TYGODNIK

ROK I | Warszawa, 18 grudnia 1932 R. | NR. 12

Prawda o zajściach genewskich

Wielkie trzęsawisko

Gdzie jest ojczyzna jezuity?

Reforma wakacyjna

Współczesna filozofja polska

Wydarzenia i dokumenty. Odgłosy. Przegląd polityczny. Listy do „Epoki".

AUTORZY: BARSKI. LUKREC. STRZELECKA. WIDZ. ROGOWICZ. USTUPSKA.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem | Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

WIELKI DOKUMENT

Notujemy narazie ukazanie się księgi, która stanowi wielki i wstrząsający dokument naszych czasów: „Pamiętniki bezrobotnych", wydane przez Instytut Gospodarstwa Społecznego. Tom ten (600 stron większego formatu) zawiera dopiero część pamiętników (57) — ogółem Instytut otrzymał pamiętniki 774 bezrobotnych. Już w tomie pierwszym znajdujemy olbrzymi materjał społeczny, psychologiczny, obyczajowy. Prawdziwe snopy światła rzucone na gehennę współczesnego bezrobocia. W znakomitej przedmowie pisze prof. Ludwik Krzywicki: „Pamiętniki bezrobotnych" są nietylko opowieścią, mającą ocknąć sumienia ludzkie, ale także książką dla ludzi dbałych o przyszłość, dla polityków, dla mężów stanu, aby wiedzieli, co tam w głębi narasta w duszach ludzkich".

DŁUGI I RATY

„Tabelka wierzytelności" państw europejskich powtarzana obecnie przez wszystkie pisma amerykańskie, nie jest pozbawiona, zwłaszcza dla czytelnika polskiego, cech sensacyjnych. Stosunek sumy dłużnej do rat poszczególnych krajów przedstawia się jak następuje:

	suma dłużna	bieżąca rata
	(w tysiącach	dolarów)
Wielka Brytanja	4.600.000	95.550
Francja	4.025.000	19.260
Polska	178.560	3.303
Belgja	417.780	2.125
Czechosłowacja	115.000	1.500
Włochy	2.042.000	1.245
Grecja	31.760	445
Estonja	13.830	266
Finlandja	9.000	186
Łotwa	5.775	112
Litwa	6.030	92
Węgry	1.939	41

Przy zadłużeniu więc dwunastokrotnie mniejszem niż Italja, 2¼ razy mniejszem, niż Belgja, Polska musi płacić ratę 2½ razy większą od włoskiej i przeszło o ⅓ większą od belgijskiej! Nierównomierność ciężarów w stosunku już nie tylko do należności, ale i do gospodarczego rozwoju kraju i ogromu dewastacji wojennej jest aż nader oczywista.

W KLASZTORACH HISZPANJI

Projekt ustawy o zgromadzeniach religijnych, przedstawiony ostatnio Kortezom przez rząd hiszpański zezwala instytucjom zakonnym na posiadanie tych jedynie dóbr, jakie są konieczne do sprawowania kultu, natomiast zabrania wszelkiego rodzaju handlu i przemysłu, uprawy większych przestrzeni ziemi, prowadzenia publicznych uczelni, z wyjątkiem tych, które mają na celu wykształcenie kapłańskie. Zgodnie z nowym projektem ustawy, dwie trzecie członków zgromadzenia religijnego winno być narodowości hiszpańskiej, wszelkie zaś nominacje na urzędy kościelne muszą być zatwierdzone przez rząd.

Państwo hiszpańskie zobowiązuje się jednocześnie lojalnie i bez uprzedzeń tolerować wszystkie wyznania religijne narówni, a także wspomóc swą szczególną opieką tych obywateli, którzy mimo święceń kapłańskich lub ślubów zakonnych zechcą wystąpić ze stanu duchownego, „gdyż hiszpański porządek prawny uznaje dożywotnie skrępowanie wolności osobistej jedynie w wypadku postępowania prawnego i na mocy wyroku trybunałów karnych".

BEZ OPOZYCJI

Po raz drugi od czasu wprowadzenia monarchji, Albanja wybierała posłów do parlamentu. Nowa Izba nie posiada wcale opozycji: wszyscy deputowani (52) należą do ugrupowania rządowego. Urzędowy komunikat opatruje tę wiadomość uwagą, iż wynik wyborów zawdzięczać należy mądrym rządom króla Achmeda Zogu.

Niewiadomo, jak tam jest naprawdę z tą opozycją: czy niema jej „oficjalnie", czy też Albanja wcale jej nie posiada. W tym drugim wypadku — zresztą wątpliwym — mielibyśmy do czynienia z ciekawym objawem bierności i braku wszelkiego krytycyzmu. Postęp odbywa się jedynie przez walkę poglądów i dążeń. Brak opozycji w Albanji stanowiłby przykład, czem się różni kraj kulturalny od kraju Achmeda Zogu.

PORADNIE PRZECIWROZWODOWE

W niektórych stanach Ameryki Południ. zaczął rozwijać swą działalność nowy „Instytut Stosunków Rodzinnych", mający na celu udzielanie porad i stosowanie remedjów w sprawach familijnych. Instytut współpracuje z duchownymi wszystkich wyznań, którzy przy okazji zorganizowania publicznej konferencji stwierdzili, że istniejący dotąd formalny stosunek religji do instytucji małżeństwa winien ulec zmianie. Zdaniem przedstawicieli różnych Kościołów chrześcijańskich, rola kapłana nie powinna ograniczać się do udzielenia ślubu. Duchowny winien zapoznać się dokładnie ze stosunkami rodzinnemi kandydatów do małżeństwa, stwierdzić, czy niezbyt wielka różnica wieku, rozwoju etycznego i kulturalnego dzieli ewentualnych nowożeńców, wreszcie — winien nawet zorjentować się w ich materjalnej sytuacji. Gdyby powziął wątpliwość co do trwałości przyszłego małżeństwa, winien raczej odradzić kandydatom wstępowania w związki małżeńskie, aniżeli udzielać automatycznie ślubu, który wkrótce doprowadzi do rozwodu.

Tego rodzaju „poradnie" mogą być w pewnych wypadkach pożyteczne, często jednak kryterja klerykalne w opinjach, czy dana para stanowić będzie dobre czy złe małżeństwo, stwarzać mogą nieznośne sytuacje.

PO OBU BRZEGACH ATLANTYKU

Ostatnie dane statystyczne wykazują nieznaczne zmniejszenie się liczby bezrobotnych w Niemczech, w Anglji i we Francji. Ogółem kraje europejskie posiadają 11.387.000 zarejestrowanych bezrobotnych co stanowi 3.6% ogólnego zaludnienie Europy (310 miljonów), natomiast w Stanach Zjednoczonych, na 123 miljony ludności wypada 11.400.000 bezrobotnych, czyli 9,5%. Zaznaczyć należy, iż cyfry powyższe nie obejmują rodzin bezrobotnych.

KONTROLA PRODUKCJI

Nakładem Mac Millana w New-Yorku ukazała się ostatnio ciekawa rozprawa dwóch ekonomistów amerykańskich, — Deane'a i Norton'a („Investing in wages, a plan for eliminating the lean Years"), skierowana przeciwko obniżce płac pracowniczych. Zdaniem autora, pomyślność gospodarcza zależy przedewszystkiem od nabywczej siły społeczeństwa. Na podstawie bogatego materjału statystycznego, autorowie wykazują, iż począwszy od 1921 roku zyski przedsiębiorców przemysłowych nieproporcjonalnie wzrastały w stosunku do płac pracowników. Jeśli zważy się, iż połowa czystego zysku z zasady bywa przeznaczana na dalszy rozwój produkcji, — to, zgodnie z opinją autorów, należałoby podwyższać stale pobory pracowników, będących podstawową siłą nabywczą społeczeństwa, gdyż dziewięć dziesiątych swych zarobków wymieniają oni na towary.

Gdyby nie nadzieje, jakie pokładali przemysłowcy amerykańscy w eksporcie zagranicznym swych towarów, to niewątpliwie bardziejby się troszczyli o utrzymanie nabywczej siły własnego społeczeństwa. Eksport zagraniczny zawiódł jednakże, a to dlatego, iż nie tylko amerykańscy, lecz wszyscy przemysłowcy poczęli produkować „na eksport" i zalewać na wyścigi wszystkie rynki zbytu swym towarem, podczas gdy podstawowy element konsumcji — rzesze pracowników nie były w stanie nabywać ani krajowych, ani zagranicznych towarów wskutek zbyt nikłych zarobków.

Ponieważ zdolność produktywna zdążyła parokrotnie prześcignąć zdolność konsumcyjną społeczeństw, przeto obniżki zarobków pracowniczych nietylko, że nie są „lekarstwem" na kryzys, lecz, zdaniem autorów, są właśnie zaostrzeniem przebiegu przesilenia gospodarczego i wywołują katastrofy społeczne, których możnaby uniknąć, stosując zupełnie przeciwne metody zaradcze.

P.P. Deane i Norton proponują natychmiastową zwyżkę poborów pracowników przemysłowych kosztem znacznej części zysków przedsiębiorcy. Dostosowując swój plan do lokalnych warunków Stanów Zjednoczonych, autorzy rozprawy proponują pozatem utworzenie „Giełdy Pracy", instytucji międzystanowej, któraby dla każdego przemysłu w każdym Stanie wyznaczała liczbę pracowników, liczbę godzin pracy, wysokość poborów i t. p. Zasadniczem zadaniem takiej „giełdy", byłaby daleko idąca kontrola produkcji, oraz kontrola zysków, których wysokość musiałaby pozostawać w ścisłym stosunku do wysokości poborów pracowniczych we wszystkich gałęziach przemysłu.

Kto chce przyczynić się do rozwoju niezależnego i poważnego tygodnika, powinien przysparzać prenumeratorów „Epoce"

PRAWDA O ZAJŚCIACH GENEWSKICH

Czytelnicy gazet polskich zapewnie nie bez największego zdumienia zapoznawali się z wiadomościami nadchodzącemi z Genewy o uśmierzanych siłami policji i wojska „rozruchach socjalistyczno-komunistycznych", o „krwawej nocy w Genewie, zorganizowanej na rozkaz Moskwy" i z innemi równie przerażającemi opisami życia nocnego w stolicy pokoju. Wiadomości te istotnie dziwnie nie harmonizowały z wyobrażeniami o Szwajcarji, jakie wytworzył sobie przeciętny obywatel świata: w szkole, w literaturze i nieraz w życiu praktycznem przedstawiano mu pod rozdziałem „Szwajcarja" pasterzy grających na flecie i spokojnie pasące się krówki, lub poczciwe psy — bernardy, znoszące zaginionym w śniegu podróżnym tabliczki „Velmy" lub „Milki". Obraz ten nabrał jeszcze więcej słodyczy od czasu, gdy Genewa stała się siedzibą Ligi Narodów, a „atmosfera genewska" stała się synonimem pokoju, harmonji i dobrobytu powszechnego.

To też wieści o tej rzekomej nowej nocy Św. Bartłomieja były dla wszystkich przysłowiowym gromem z jasnego nieba. Stwierdźmy jednak przedewszystkiem, że wiadomości te były jednocześnie przesadzone i grubo nieścisłe. Przesadzone, o ile przedstawiały one zajścia z 9-go listopada, jako stłumienie próby zamachu rewolucyjnego ze strony szwajcarskich elementów komunistycznych, nieścisłe przedewszystkiem w rozłożeniu odpowiedzialności i winy za tę krwawą masakrę, której ofiarą padło 13 zabitych i conajmniej pięć razy tyle rannych.

Ogół polskiej prasy codziennej informował swych czytelników o tych wydarzeniach, przedrukowując bezkrytycznie oficjalne komentarze prasy szwajcarskiej i nie zadając sobie trudu dotarcia do prawdy.

Co istotnie zaszło? Powiedzieć to może niewielu ludzi nawet w Genewie, a większość tych, coby mogła to uczynić, nie korzysta z tego przywileju mówienia prawdy i dociąga przedstawienia faktów do potrzeb politycznych.

Prasy bezstronnej, lub przynajmniej sumiennej w Genewie niema.

Odtwórzmy tu bieg wydarzeń, zachowując najdalej posunięty objektywizm.

Genewska „Unja Narodowa", kierowana przez demagogicznego, ale pozbawionego talentu krzykacza i „faszystę" — antysemitę Georges Oltramare, zapowiedziała na dzień 9-ty listopada wielki wiec pod hasłem „Postawienie w stan oskarżenia Nicole'a i Dicker'a (dwóch przywódców genewskiej partji socjalistycznej). Tego rodzaju zapowiedź uznana została za prowokację przez socjalistów, którzy po bezskutecznem domaganiu się od Rządu genewskiego wydania zakazu odbycia tego wiecu, zapowiedzieli kontrmanifestację pod gołem niebem, w najbliższem sąsiedztwie wspomnianego zebrania.

W przewidywaniu tych manifestacyj, policja zamknęła łańcuchami dostęp do sali obrad, wpuszczając publiczność jedynie do chwili zapełnienia się sali. Znaczne tłumy pozostały jednak odcięte od sali, gdzie odbywał się wiec; znajdujący się wśród nich przywódcy socjalistyczni i komunistyczni wygłosili do mas przemówienia, kwalifikowane zazwyczaj w raportach policyjnych, jako „podburzające". Tłum za-

czął napierać na policję, usiłując przerwać kordon i zerwać łańcuchy. Prezes Rządu genewskiego, pan Frédéric Martin, znajdujący się w gmachu, gdzie się odbywał wiec, zawezwał telefonicznie pomocy wojska, które było skonsygnowane w sąsiedztwie, w przewidywaniu zajść. Należy dodać, że te oddziały wojska złożone były z młodych chłopców, kończących kurs szkoły rekruckiej.

Z przybyciem wojska zaczyna się tragedja: zajścia, które do tej chwili nie wykraczały poza ramy zwykłych niepokojów ulicznych, dających się z łatwością stłumić przy pomocy sprawnie działającej i odpowiednio wyszkolonej policji, przemieniają się w poważne zaburzenia, zakończone krwawą masakrą. Niedoświadczeni dowódcy wojskowi wprowadzają mały oddział żołnierzy w sam środek tłumu, podnieconego przemówieniami prowodyrów i widokiem wojska. Od wrogich okrzyków dochodzi do czynów: tłum zaczyna rozbrajać żołnierzy, łamiąc odebrane im karabiny i depcząc hełmy stalowe. W tej sytuacji dowódca oddziału ma przed sobą już tylko dwa wyjścia: albo dać się rozbroić, albo zacząć strzelać. Wybiera on oczywiście to drugie. Wycofuje więc pośpiesznie kilkudziesięciu żołnierzy, ustawia ich plecami do gmachu „Pałacu Wystaw" i po kilku wezwaniach do rozejścia się, ginących w niesłychanym hałasie, oraz po jednym czy dwóch sygnałach trąbką, niezrozumianych przez napierających, każe żołnierzom strzelać w tłum. Rozlegają się strzały karabinów oraz rewolwerów, terkot karabinu maszynowego. Wszystko razem trwa nie dłużej, niż 10 sekund, ale efekt tych strzałów jest morderczy: kilkadziesiąt ofiar pada na ziemię.

Tak rozegrały się wypadki, które odbiły się głośnem echem po całym świecie. Ale to dopiero pierwszy akt. W przeciwieństwie do dramatów scenicznych, gdzie w pierwszych aktach wrą namiętności ludzkie, a pobojowisko zaściela się trupami dopiero przed ostatecznem zapadnięciem kurtyny, tutaj żniwo śmierci jest początkiem dalszego dramatu. Salwa karabinowa przed Pałacem Wystaw wyzwoliła bowiem z genewskiego mieszczaństwa długo tłumione namiętności, które teraz zaczynają się wyładowywać — przedewszystkiem zaś uczucie nienawiści do tych, co ośmielają się demonstrować przeciwko porządkowi społecznemu i zagrażają tem samem sytuacji „klas posiadających".

Muszę tutaj ponownie zastrzec się, że daleki jestem od bronienia działalności przywódców genewskich partyj lewicowych, akcji stojącej na niezmiernie niskim poziomie wyrobienia politycznego i żyjącej demagogją. Trudno nie uznać, że odpowiedzialność za ten rozlew krwi spada w części i na nich.

Nie chodzi mi też tyle o omówienie tych lub innych posunięć władz szwajcarskich lub lewicowej „opozycji" — ile o scharakteryzowanie pewnych odruchów społeczeństwa szwajcarskiego, które znalazły swe odbicie przedewszystkiem w prasie.

Polska prasa codzienna, pisząc o zajściach genewskich, poświęciła wiele miejsca rozważaniom na temat „kryzysu demokracji szwajcarskiej", wyliczając liczne jego objawy, jak zwłaszcza fakt, iż zawiodła w krytycznej chwili osławiona milicja szwajcarska, jedna z największych zdobyczy tej demokracji. Nie dostrzeżono jednak objawu najważniejszego: niemal całkowitego zaniku krytycznej opinji publicznej.

Jednomyślność, z jaką prasa burżuazyjna Genewy zaaprobowała represje wojskowe wobec demonstrujących, lekkość serca, z jaką pogodzono się z faktem zabicia 13 osób i poranienia kilkudziesięciu, brak jakiegokolwiek krytycyzmu wobec oficjalnych wersyj o przebiegu wypadków, wreszcie istny entuzjazm dla „żołnierzyków", jaki zamanifestowała cała t. zw. dobrze myśląca Genewa — były czemś nie do pojęcia dla cudzoziemców, przebywających tutaj nawet od dłuższego czasu, ale w przeważnej większości wypadków zupełnie nierozumiejących charakteru Szwajcarów. Poddanie w wątpliwość, czy policja i wojsko istotnie nie miały innych środków rozproszenia tłumu, jak strzelać doń z karabinu maszynowego, uważane było za coś w rodzaju zdrady stanu. Powszechnem credo prasy stała się wersja o stłumieniu przez wojsko próby rewolucji komunistycznej, chociaż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że opinja ta — to wielki humbug, obliczony na usprawnienie metod „silnej ręki" (co tak często jest synonimem słabej głowy). Nie strasząc czerwoną Moskwą, nie dałoby się bowiem w żaden sposób usprawiedliwić użycia karabinów maszynowych przeciwko tłumowi, rzekomo uzbrojonemu.... w torebki z pieprzem, którym miano sypać w oczy żołnierzom.

Teraz druga strona tego medalu: oto wynosząc pod niebiosa akcję wojska przy tłumieniu zajść, prasa genewska skrzętnie unika pisania o zachowaniu się tych samych żołnierzy w koszarach. A działy się tam rzeczy ciekawe, za które gdzieindziej karanoby długoletniem więzieniem. Tak np., gdy komendant placu, płk. Lederrey, zebrał zmobilizowane wojska i wygłosił do nich przemówienie, oświetlające w sposób oficjalny zajścia, zaczęto mu z szeregów przerywać okrzykami: „morderca!". Gdy zaś nazajutrz po zajściach zebrała się pod koszarami grupa komunistów, śpiewając „Międzynarodówkę", spory oddział żołnierzy podszedł do okien i przyłączył się do tego śpiewu.

O tem wszystkiem nie wolno było w Genewie pisać.

Prasa genewska wykazała jednak nietylko brak krytycyzmu i tchórzostwo, ale i cynizm: jak bowiem inaczej określić fakt, iż pewnego dnia wszystkie dzienniki burżuazyjne Genewy zapowiedziały zbiórkę składek na.... instytucje samopomocowe pułków, które przyczyniły się do przywrócenia porządku w Genewie. Miała to być kontrdemonstracja przeciw zbieraniu składek na ofiary zajść, zainicjonowanemu przez dziennik „Le Travail", urzędników genewskich instytucyj międzynarodowych, Ligę obrony praw człowieka i obywatela i t. p.

Te wszystkie objawy rozkładu, już nietylko politycznego ale i moralnego, znalazły, jak już powiedziałem, niemal jednomyślną aprobatę genewskiego mieszczaństwa. Tej jednomyślności przeciwstawiła się solidarnie opinja tutejszych cudzoziemców. Część ich — jak np. pewna ilość urzędników Międzynarodowego Biura Pracy oraz przeważająca liczba przebywających w Genewie korespondentów pism zagranicznych, nie zawahała się manifestować publicznie swego oburzenia. Tak np. wiadomo mi, że kilkunastu urzędników Międzynarodowego Biura Pracy wypowiedziało prenumeratę najpoważniejszego tutejszego pisma „Le Journal de Genève", motywując ten krok (w jednobrzmiących listach do redakcji tego pisma), stanowiskiem, jakie zajęło ono

w sprawie zajść. Korespondenci obcych pism, zwłaszcza francuskich i amerykańskich, w bardzo nieraz ostry sposób krytykowali stanowisko zajęte przez władze i prasę genewską, ściągając na siebie gromy oburzenia i zarzuty nieszanowania praw gościnności.

Zadawano sobie powszechnie pytanie, jak mogło dojść do tych zaburzeń i czem sobie wytłomaczyć tę reakcję społeczeństwa genewskiego. Jak wyjaśnić tę psychozę militaryzmu, która opanowała genewskich mieszczan, jak wytłómaczyć fakt, że społeczeństwo to, będące dla świata przykładem kultury materjalnej, harmonji społecznej, symbolem zdrowej i głęboko ufundowanej demokracji — nagle okazało się bezwzględnym, fanatycznym wyrazicielem skrajnego wstecznictwa i zapłonęło entuzjamem dla metod, których nie powstydziłby się żaden ustrój dyktatury wojskowej.

Tajemnica tkwi, mojem zdaniem, w upadku moralnym tego społeczeństwa, wywołanym nadmiarem dobrobytu. Że nie jest to frazes, dyktowany powierzchowną obserwacją stosunków, niech świadczy cytata z pisma satyrycznego „Le Bon Sens", może jedynego organu genewskiej prasy, który istotnie nie utracił poczucia zdrowego sensu (jest to pismo o tendencjach umiarkowanie lewicowych):

„Mięsza się w naszym kantonie coraz częściej sztandar narodowy z portfelem, urnę wyborczą z kasą stalową, patrjotyzm z pieniądzem. Uratować kraj znaczy obronić szwajcarski Związek Banków, — a umrzeć za ojczyznę — zginąć na progu opancerzonej piwnicy".

I dalej:

„Finansjera opanowała naszą prasę i nałożyła jej kaganiec; wycisnęła ona na prasie tak wyraźnie swoje znamię, że doszło się w Genewie do pewnego rodzaju kultu religijnego dla pieniądza. Wszelkie swobodne zdanie o bankach uważane jest za bluźnierstwo... W Rzymie protestanckim (t. zn. w Genewie) można dyskutować o najbardziej zasadniczych dogmatach religijnych, nie urażając nikogo, ale mistyka finansjery powoduje, iż ktokolwiek ośmieli się podnieść głos krytyki przeciwko niej, lub jej kapłanom uważany jest za „złego obywatela".

Istotnie, cała ta, tak przykra dla Genewy sprawa zajść z 9-go listopada, znaleźć może swe wytłomaczenie tylko na tle strachu społeczeństwa szwajcarskiego przed utratą swej potęgi finansowej, tej zdobyczy wielkiej wojny. Czyżby nawet wzbogacone na wojnie kraje neutralne, o których dotąd powszechnie się sądzi, że to one właściwie wygrały wielką wojnę, czyżby nawet te kraje musiały płacić jej rachunek demoralizacją swej ludności?

M. Barski

Genewa, w grudniu 1932 r.

„Epoka" jest pismem dla ludzi myślących, którzy pragną pogłębić swój sąd o rzeczywistości współczesnej.

WIELKIE TRZĘSAWISKO

Gdym dwadzieścia lat temu, po założeniu w moim okręgu pierwszej szkoły wiejskiej z wykładowym językiem polskim, — wystąpił jako młody entuzjasta oświaty na zebraniu gminnem, nawołując do dalszego tworzenia szkół — doznałem pierwszego głębokiego rozczarowania. Ze zbitego, wzburzonego tłumu włościan, zebranych pod gołem niebem przed urzędami gminnemi padały głośne, wściekłe okrzyki: nie trzeba szkół! nasi ojcowie się nie uczyli, myśmy się nie uczyli, to i nasze dzieci mogą się też nie uczyć! A gdy kilku zaledwie światlejszych gospodarzy, rozumiejących z pośród tysiąca zgromadzonych chłopów znaczenie oświaty — spróbowało postawić się okoniem wobec rozwydrzonego, do żywego poruszonego tłumu, — zostali zahukami, zakrzyczani i wygwizdani.

Zastanawiałem się głęboko nad znaczeniem tego straszliwego nieporozumienia, nad tem zażartem kąsaniem wyciągniętej przyjaźnie ręki, podającej ożywczy kaganek, i doszedłem do smutnego, jedynego wniosku, że wpływy ówczesnych carskich komisarzy włościańskich wydały bujny, głęboko zakorzeniony i rozkrzewiony plon nieufności do poczynań inteligencji wiejskiej; że każdy jej wysiłek, najbardziej nawet ofiarny i wzniosły, bez żadnych pierwiastków stanowych i utylitarnych zgóry skazany ma być na zagładę, jako wyraz zamaskowanego „pańskiego" podstępu, obliczonego na szkodę i poniżenie chłopa.

Systematyczne, uporczywe oddziaływanie na duszę wsi i utrwalanie wieloletnie dzień w dzień w świadomości chłopa, że tylko dobroczynna opieka organów carów-oswobodzicieli obliczona jest na jego pomyślność, — odbijało się aberacyjnie w pojęciach włościan o swojszczyźnie, braterstwie i własnej ich pożyteczności.

Umiejętne i metodyczne zwracanie w przeciwnym kierunku świata myśli, uczuć i popędów chłopa stworzyło właśnie ów historyczny paradoks, że wieś polska wydawała własnemi rękami w ręce swoich ciemiężycieli moskiewskich czerwonych demokratów powstańczych, walczących z bronią w ręku o uwłaszczenie i wyzwolenie włościan; później podobnie zrodziła inny, ale nie mniej głęboki paradoks, że chłopi zaciskali pięści i złe rzucali spojrzenia na pionierów oświaty, mającej postawić właśnie chłopa na podeście obywatelskości. Upadek zaboru i zniknięcie wraz z nim źródeł hypnozy carofilskiej i carosławnej z jednej strony, z drugiej zaś pomyślne, bogate lata dla rolnictwa, podnoszące stopę życiową i zamożność średniego chłopa, stworzyły warunki tak ożywcze, że samobójczy przedtem opór przeciw oświacie szkolnej zniknął naraz, jak zły sen w pierwszym promieniu wschodzącego słońca.

Odbył się w sposób piorunujący proces w kierunku odwrotnym: chłop dotychczas przytłumiony i otumaniony, zwrócił się całą potęgą swej duszy ku oświacie, pragnąc szkół, domagając się jaknajprędzej i jaknajwięcej szkół, gotowym będąc ponosić dla ich powstawania i wzrostu ofiary jaknajbardziej szczodre w stosunku do swoich zasobów. I gdyby dziś ten sam tłum chłopów, zbitych do kupy na zgromadzeniu gminnem, ujrzał swoje duchowe oblicze w zwierciadle z przed lat dwudziestu, niewątpliwie by nie uwierzył w jego wyraz oryginalny, a jeśliby uwie-

rzył — ze zjeżonym włosem patrzałby na szczerzące zęby widma ciemnoty i zacofania.

W ciągu lat dwudziestu wieś, która wyszła z upartej ciemnoty, dosięgła już pewnego punktu świadomości, że szkoła stanowi nietylko konieczne dopełnienie jej życia duchowego, ale i warunek rozwoju rolnictwa i istnienia materjalnego.

Pomimo ogromnego zubożenia wsi w ostatnich paru latach i płynącej stąd zażartej, uporczywej, drobiazgowej walki o każdy grosz w wydatkach gminnych i powiatowych, jednakże w układaniu preliminarzy budżetowych jedynie potrzeby szkolnictwa uśmierzają gorączkę burzliwych rozpraw i często rozpogadzają oblicza radnych chłopskich, dających chętnie swoją zgodę na zaspokojenie tych potrzeb w granicach choć skromnych, ale i tak przekraczających możliwości płatnicze wsi.

Z istnieniem szkoły wiejskiej łączy się cały splot zainteresowań: przez naukę dzieci i ich książki pokolenia starsze wchodzą w sferę świeżych zupełnie zagadnień i nieznanych przedtem widnokręgów. Olbrzymia większość włościaństwa, spędzająca całe swoje życie w zagrodzie i na zagonie, nie znając przeważnie ani miast wielkich, ani ich urządzeń, nie widząc wielu zdobyczy niezwykłych ani z dziedziny techniki, ani kultury, teatru, kina i t. d., przywiązuje się instynktownie do jedynego światełka wiejskiego, które pada z okien szkółki powszechnej.

Stronnictwa polityczne zarówno ściśle ludowe, jak i wszechstanowe, które wiele deklamują na temat cywilizacji i wolności chłopa, oraz toczą homeryczne boje o demokrację, nie docierają zupełnie do duszy wielomiljonowego włościaństwa. Wszystkie czynności cywilizacyjne tych stronnictw sprowadzają się w okresach przedwyborczych do zastawiania pułapek na głosy chłopskie, pozostawiają znów potem odłogiem olbrzymie pola życia wiejskiego, czekające wciąż na uprawę pod siew rzeczywistej demokracji. Chodzi przecież nie tylko o ustawy pisane i reformy, nie tylko o zmianę takich lub innych przepisów policyjnych, o demokratyczną l i t e r ę prawa, wykrzyczaną i wybitą w ciałach prawodawczych, ale właśnie o codzienną rzetelną pracę w zakresie przeorywania pługiem samowiedzy, o siew cennych ziarn samopomocy społecznej, które potem rozkrzewiają się w licznych organizacjach zawodowych, spółdzielczych, wyrabiając w rolnikach samodzielność myślenia i zaradność praktyczną; wymagają one z kolei wyższego znów stopnia oświaty, wiadomości, zmysłu krytycznego i przeobrażeń moralnych, słowem prowadzą do t r e ś c i demokratycznej i siły duchowej, bez których najlepiej nawet redagowane ustawy zawisną na kołkach, jak próżne worki po wysypanem ziarnie i czekać będą w stanie teoretycznym, aż samo życie swą treścią je napełni.

Tymczasem rzeczywiste warunki życia kulturalnego na wsi bardzo nieznacznie się zmieniły w przeciągu ostatnich lat dwudziestu. Zadawniona w powyższym sensie nowina demokracji leży prawie nieporuszona, unoszą się tylko nad nią fale rzeczy m ó w i o n y c h o demokracji, które wsi do życia w tem znaczeniu obudzić nie zdołają, raczej mocniej kołysać ją będą do snu lub sen jej osładzać, niby chwytający za serce śpiew skowronka, roznoszącego wysoko pod obłokiem cudne, drżące słodyczą melodje.

Świadomość dobrodziejstwa oświaty jest już założona u podstaw, ale wskutek braku samowiedzy społecznej, wynikającej z braku życiowej treści demokratycznej — wszelkie rzeczywiście postępowe poczynania trafiać muszą w próżnię. Tak np. częste pogorzele na wsi, niszczące za jednym zamachem nie tylko zabudowania, ale i inwentarze razem z całorocznemi zbiorami, — wywołały potrzebę uproszczonego, przymusowego ubezpieczenia krescencji. Opłaty roczne za ubezpieczenia, naskutek swego zbiorowego, masowego charakteru są bardzo niskie i wynoszą dla kilkumorgowych gospodarzy równo wartość kilku zaledwie paczek tanich papierosów. Takie zbiorowe ubezpieczenie, wyłączające formalistykę i zabiegi indywidualne wprowadzone zostaje na mocy zwyczajnych uchwał sejmików, w których znaczną większość zazwyczaj posiadają włościanie. Tymczasem tak, jak dawniej wieś opierała się przymusowemu szczepieniu ospy, widząc w tem stosowaniu środków profilaktycznych polityczny motyw dręczenia ze strony oświeconych żywiołów, tak i dziś w tem obowiązującem ubezpieczeniu, stanowiącem szczepienie ochronne od nagłej ruiny gospodarstwa — widzi często aberacyjnie zamach na swoje prawa indywidualnej wolności i broni się przed niem wszelkiemi sposobami, podcinając własnemi rękami gałąź, na której sama siedzi.

W klubach politycznych i biurach stronnictw mówi się wciąż o prawach i roli demokracji, ale podłoże, na którem ona ma się tworzyć i krzepnąć, pozostaje wciąż w stanie płynnym; i przez wygłoszenie jeszcze kilku tysięcy mniej lub więcej udanych mów politycznych, — wielomiljonowe małorolne i bezrolne włościaństwo, sól tej ziemi, nie przestanie przez to rozpuszczać się nadal w wilgotnych norach mieszkalnych, w ubóstwie, brudzie, w plwocinach gruźlicy, — rozproszone, bezradne, niespojone siłą codziennej, mrówczej, organicznej roboty w wielkiej bryły kultury spółdzielczej, technicznej, obyczajowej. Zwłaszcza jeżeli chodzi o miljony spauperyzowanych na wzór hinduski bezrolnych robotników wiejskich, wyniszczonych, o ziemistym wyglądzie, skulonych w swojej nędzy lub rozłażących się, jak senne muchy w daremnem poszukiwaniu zarobków. Rozproszkowani, nie mogąc stanowić żadnej groźnej zorganizowanej, albo odruchowo niebezpiecznej bezpośredniej siły, jak masy bezrobotnych w mieście, — staczają się coraz bardziej w przepaść beznadziejności w miarę wzrastającego zubożenia wsi. Odtrąceni nadto od wszelkich źródeł nawet anemicznej pomocy społecznej, obojętni już, z jakimś tępym fatalizmem wyczekują, jak gdzieś w odległych kolonjach, przyjścia jakichś mistycznych pracodawców, plantatorów, którzy zabiorą może ich w świat jako obieżysasów.

Jestto w kraju grupa ludności najbardziej wyniszczona i upośledzona, przytem mało wymagająca, zadowalająca się jak murzyni lub kulisi odrobiną mizernej strawy, gotowa w każdej chwili jąć się pracy, a podobno przecież plantatorzy w kolonjach poszukują właśnie ludzi, idących do roboty prosto z puszczy, wymagania ich bowiem wytrzymują zawsze najbardziej nawet ciężki, zimny rachunek, zaś wystudzone ich życie daje rękojmię uległości i posłuszeństwa niewolniczego na czas bardzo długi.

Ciekawe jest, co czynić będzie demokracja dla tych zastępów parjasów, o tyle przecież szczęśliwszych od swoich współbraci hinduskich, że posiadają już prawa wyborcze od lat piętnastu!

Obraz przekroju życia wsi i ogromu jej materjalnego upadku znajduje potwierdzenie urzędowe: ogólna suma obdłużenia rolnictwa wynosi bez mała cztery miljardy złotych (3.850 miljonów), a posiadacze większości gospodarstw wiejskich są więc tylko nominalnymi właścicielami.

W organie Ministerstwa Rolnictwa, autor artykułu wstępnego, mówiąc o zasadach rozwiązywania sprawy nadmiernych zobowiązań w rolnictwie, oświadcza najzupełniej wyraźnie, że stan zadłużenia jest tak wysoki, iż *przez „proste zaostrzenie postępowania egzekucyjnego moglibyśmy dziś z łatwością państwo i instytucje publiczne uczynić właścicielami większości warsztatów rolnych*[1]*)*". I wprawdzie autor artykułu szuka środków ratunkowych dla rolnictwa, chcąc utrzymać zasadę indywidualnego, prywatnego posiadania, nie zmienia to jednak faktu, że zgromadzone zostały ogromne zobowiązania i stworzone warunki dla upaństwowienia ziemi, i to nie drogą stosowania gwałtownych środków, lecz przez proste postępowanie egzekucyjne.

Równolegle zatem do koncentracji kapitałów w przemyśle, w trustach, syndykatach, kartelach, spółkach akcyjnych — odbyła się jednocześnie koncentracja kapitałów w rolnictwie, ale w sposób nieco paradoksalny, nie drogą prywatnego gromadzenia ich, lecz prywatnego zadłużania się wobec państwa i jego organów. Proces ten, omijając długą i zawiłą drogę, doszedł bezpośrednio i szybko do wrót samego skarbu. Rzecz prosta, nie jest to wynik pozytywny i normalny kapitalistycznego procesu rozwojowego, ale przeciwnie uważać go można za opaczny i kłopotliwy, niczem źle i nienaturalnie położony płód w łonie matki, który wymaga nieodwołalnie sztucznego nastawienia ręką operatora dla umożliwienia normalnego porodu.

Groteskowość położenia rośnie równolegle do wzrostu zadłużenia rolnictwa: *samo państwo kapitalistyczne bronić dziś musi rolnictwa przed upaństwowieniem jego z jednej strony, z drugiej zaś samo siebie chronić przez odsuwanie „zaostrzonego postępowania egzekucyjnego", iżby przypadkiem państwo nie stało się zaprzeczeniem zasad prywatnej własności i spadkobiercą zbankrutowanego, obdłużonego rolnictwa.*

Współczesny organizm gospodarczy w warunkach napiętego przesilenia ustroju, wydał tym sposobem dziecko niejako nieprawego łoża i podrzuciwszy je państwu, jako przyszłemu dziedzicowi miljardowych długów, — czeka na urzędowe przyznanie ojcostwa bękartowi wiejskiemu.

Pomimo zatem braku nasilenia rewolucyjnego i aktów świadomej woli historycznej, tylko drogą samego nacisku zwyrodniałych form ustrojowych,— rolnictwo dotarło do Rubikonu, którego przekroczenie uzależnione zostało jedynie od zafrasowanego podpisu pod zarządzeniem egzekucyjnem.

Wszystkie te zjawiska, jak kolorowe, jaskrawe rakiety, rozrywające się wysoko w ciemnościach, — oświetlają na chwilę zagrożony teren. Są to właściwie skandale dziejowe, pogłębiające świadomość położenia i uplastyczniające rzeczywistość. Niezależnie od stosunku przekonaniowego, uczuciowego, indywidualnego do istniejących form industrjalizmu, wydających dziś żyrardowszczyznę lub do dziedziny rolnictwa, rodzącej zastępy parjasów i góry długów, — te skandale dziejowe pokazują w świetle swych krótkich, jaskrawych błysków przekrój stosunków nowych wraz z różnorodnością fauny trzęsawisk i bagnisk.

Henryk Lukrec

[1]) Styczniowy zeszyt organu Ministerstwa: „Rolnictwo" I. 1932, artykuł D-ra Stefana Szmidta: „Zasady rozwiązania problemu nadmiernego obciążenia zobowiązaniami rolnictwa".

ODGŁOSY

REFORMA WAKACYJNA

Z pewnem zażenowaniem przypominam na wstępie tak znaną rzecz, jak ta, że każda rozsądna reforma jest nią wtedy, gdy zjawia się we właściwym czasie, gdy jest pożądanem i oczekiwanem rozwikłaniem trudności, które tamują naturalny bieg życia i jego potrzeb.

Reforma jednak, która powoduje „zaistnienie" nowych kłopotów, zwłaszcza w takiej sytuacji, jak dzisiejsza, musi wzbudzić zdumienie. Nie stać nas na luksus przystosowywania się do takich nowości, które nie są podyktowane logiczną życiową koniecznością.

Właśnie reforma wakacyjna jest takim luksusem. Zaczynam od ferji zimowych. Trwały one dotychczas przeciętnie od 21 grudnia do 3-go stycznia. Była to przerwa najzupełniej wystarczająca, dla olbrzymiej części młodzieży zbyt długa nawet, bo przy katastrofalnych warunkach materjalnych szkoła jest dzisiaj najczęściej ucieczką od zimna i bardzo ciężkich warunków mieszkaniowych, częstokroć i rodzinnych.

Według reformy, wakacje zimowe zostały przedłużone do dnia 16-go stycznia. Śmiem przypuszczać, że rozstrzygającym argumentem była tutaj myśl udostępnienia młodzieży wykorzystania możliwości sportów zimowych. Narty, ślizgawka, hockey, saneczki.

Bez odwoływania się tutaj do omnipotencji pim'owych, wiemy wszyscy, że ojczyzna nasza pokrywa się nadobre białą szatą śnieżną, jak mówi poeta, właśnie dopiero w drugiej połowie stycznia. Wtedy także może być mowa o „srebrnej fali lodowej" etc.

Pamięta człowiek dobrze swoje własne lata dziecinne. To był przecież zawsze prawdziwy pech, że łyżwy wyjmowało się wtedy, kiedy zaczynała się szkoła. W okresie ferji Bożego Narodzenia albo plucha, albo ciepło.

Ale przypuśćmy, że warunki atmosferyczne ułożą się pomyślniej od daty wprowadzenia przedłużonych wakacji począwszy.

Garstka młodzieży, wybrańców losu, ta, która ma narty i buty, łyżwy, kije hockeyowe etc. będzie mogła ze sportów zimowych korzystać. Garstka młodzieży zaledwie może sobie pozwolić na koszty, z temi sportami związane. Jeżeli chodzi specjalnie o narty, to także garstka uprzywilejowanych będzie mogła wyjechać w góry, tembardziej, że nie słyszałam, aby zostały poczynione odpowiednie kroki w celu zorganizowania bardzo tanich, dostępnych większemu ogółowi wycieczek turystycznych. Olbrzymia większość młodzieży i dzieci w wieku szkolnym ani myśleć będzie mogła o wykorzystaniu „dobrodziejstwa" przedłużonych ferji.

Ferje wielkanocne skrócono z dwóch tygodni do tygodnia. To może najracjonalniejszy moment w kompleksie wprowadzonych zmian, bo odpowiada dzisiejszemu układowi warunków.

Natomiast przesunięcie terminów, rozpoczynających i kończących wakacje letnie, nasuwa znowu bardzo poważne zastrzeżenia.

Wakacje zaczynają się obecnie 19 czerwca, a kończą 19 sierpnia. Dotychczas trwały od 1 lipca do 1-go września, ale tylko formalnie, bowiem w ostatnim tygodniu czerwca młodzież do szkoły już nie chodziła.

20-go czerwca można będzie tedy wyjechać. Za co? W trzeciej dekadzie miesiąca rodzice nie mają pieniędzy na pokrycie kosztów związanych z wyjazdem. Pozatem nad morzem i w górach w drugiej połowie czerwca jest jeszcze całkiem zimno, urlopy rodziców zaczynają się przeważnie pierwszego, a o ile dzieci nasze nie jadą do obozów, to właściwie jedyny miesiąc w roku, kiedy możemy być z niemi naprawdę razem.

Wakacje kończą się 19 sierpnia. Sierpień jest prawie zawsze upalny w Polsce. Wracać do miasta, znowu w trzeciej dekadzie miesiąca, kiedy, zwłaszcza po lecie niema pieniędzy, wracać w okresie, kiedy nasilenie epidemji związanej ze spożywaniem surowych owoców jest w dużych miastach największe?

I jeszcze jedno. Skoro rok szkolny rozpocznie się 19 sierpnia, to będzie trzeba odrazu kupować podręczniki, wszelkiego rodzaju pomoce szkolne, mundury i t. d. Ci rodzice, którzy mają urlopy przeważnie od 1-go do 1-go każdego miesiąca, będą musieli wracać z dziećmi do miasta, w najpiękniejszym okresie miesiąca rozpoczynać całe mise-en scène jesienne, które naprawdę stanowi poważną pozycję w budżecie.

Entuzjaści reformy przytaczają na poparcie swego zachwytu taki argument, że przeciętna temperatura w czerwcu jest o 2 stopnie wyższa od takiej temperatury w sierpniu. Dobrze, ale w czerwcu miasta nie są tak rozpalone, nie są tak zakurzone, zadymione, jest czasem czem odetchnąć. Powrót do miast w spiekotę letnią jest naprawdę krzywdą dla dziatwy szkolnej. Krzywdą jest dla niej to skrócenie wakacji o blisko dni dwanaście, dwanaście dni słońca i powietrza.

Dlaczego powyższe zmiany mają wejść w życie teraz właśnie, komu i dlaczego są tak bardzo potrzebne w tym czasie, kiedy każdy wysiłek, każda komplikacja nadprogramowa jest tak ciężka? Najwidoczniej chciano nam przypomnieć, że pragnie się i rodziców i dzieci w permanencji uszczęśliwiać. Stanowczo wbrew nam. Okazuje się, że nie dorośliśmy do tego, aby podobne dobrodziejstwa oceniać i być może zawiedziemy oczekiwania t. zw. czynników, które spodziewają się od nas napewno uznania i wdzięczności za tę nieustającą pamięć.

Janina Strzelecka

Walka z krzywdą człowieka i obywatela jest naczelnem zadaniem „Epoki".

REFLEKSJE

CZŁOWIEK, KTÓRY SIĘ ORJENTUJE

Podczas awantur studenckich we Lwowie, niejaki Wachsman wybijał szyby w sklepach swoich współwyznawców. Wybił kilkanaście dużych szyb, uzbroiwszy się w dwumetrowej długości drąg.

Tak pracował w interesie swego ojca-szklarza.

Oto wyczucie... konjunktury. Wachsman wie, że od czasu do czasu wybija się szyby w sklepach żydowskich, że jest to zjawisko powtarzające się stale, zwłaszcza na początku roku akademickiego. Wtedy ojciec-szklarz zarabia najwięcej. Trzeba więc czekać i czuwać. Wachsman sporządził sobie drąg i trwał w pogotowiu, mając pewność, że chwila pomyślna nadejść musi. Rozumował słusznie, że przecież tak odrazu, z roku na rok żydożercza hołota nie zniknie. Jak za lat poprzednich, tak i w tym roku wybuchnie awantura, będzie krzyk, tumult, zamieszanie. Wtedy...

Jedno z haseł mądrości życiowej brzmi po rosyjsku: „Ławi mament!" („Chwytaj okazję"). Kalkulacja Wachsmana była nadto zgodna z zasadą sprytu handlowego: można robić wszystko, byleby się nie dostać do kryminału. Wachsman miał dane, że więzienie go ominie: błyskawicznie zgubi się w tłumie, a któż posądzi Żyda o wybijanie szyb w sklepach żydowskich?

Nie udało się, ale myśl sama ze stanowiska powszechnie dziś panującej „etyki" handlowej była racjonalna, rozsądna, trzeźwa. Świat handlowy może powiedzieć o Wachsmanie, że „będą z niego ludzie" i że „ma głowę na karku".

O kim się tak mówi? Przedewszystkiem o tych, którzy są „ludźmi konjunktury", którzy „mają nosa"... To jest gatunek najbardziej dziś ceniony, poszukiwany i budzący zazdrość. Każde przedsiębiorstwo zabiega o takie typy. Mogą mieć rozmaite sprawki na sumieniu, trzeba im patrzeć na ręce, ale przecież mają spryt, orjentują się... Nadzieją i chlubą każdej imprezy handlowej jest człowiek, który się orjentuje, t. j. taki, który potrafi najszybciej i najsprytniej wyzyskać konjunkturę, a popełniając jakieś zyskowne łajdactwo, zabezpieczy i siebie i firmę przeciw niedobrym konsekwencjom prawnym. Taki ma pomysły, ma „koncepcje", wie „co w trawie piszczy"... Mówi się też o takim: on zna życie. Psycholog. Strategik życiowy. Ma „inicjatywę"...

Wachsman jest postacią symboliczną. Jest człowiekiem bardzo dzisiejszym. Cały świat handlowy czeka na konjunkturę, na okres, kiedy — wzorem lat minionych — przeprowadzi się tysiące spekulacji, żeby, jak to mówią w tej sferze, „załapać trochę gotówki". Wachsman jest nieodrodnem dzieckiem tego świata, jabłkiem, które spadło niedaleko jabłoni. Miał własną, na swoim maleńkim odcinku — konjunkturę. Czuwał i nie przepuścił chwili. I jak o człowieku, któremu nie poszczęściło się w jakiejś ciemnej aferze, słyszymy często sąd łagodny, że „powinęła mu się noga", tak też może powiedzieć świat handlu o Wachsmanie: jemu się tylko noga powinęła... Jest w takim sądzie dużo ciepła, serdeczności, współczucia, sporo rzewnego sentymentu, który rodzi się na myśl: dziś jemu, jutro mnie...

Dzisiejszy świat interesów handlowych niema powodu do potępienia Wachsmana.

Widz

GDZIE JEST OJCZYZNA JEZUITY?

SKARGA A RICHELIEU

Uroczyście potępiona przez arcybiskupa warszawskiego książka H. I. Łubieńskiego „Droga na Wschód Rzymu" wywołała żywe zainteresowanie się oświeconego ogółu polskiego sprawą gorliwej propagandy papieskiej na rzecz obrządku t. zw. wschodnio-słowiańskiego na naszych kresach. Stacją nadawczą tej akcji jest od 6 lat specjalna, bezpośrednio podlegająca papieżowi komisja „Pro Russia", której sama nazwa określa kierunek wznowionych dziś odwiecznych apetytów unijnych Stolicy Apostolskiej. Działalność „misyjna" śród chrześcijan wyznania prawosławnego na terytorjum dzisiejszej Polski powierzona została przez Rzym Jezuitom, Redemptorystom, Marjanom, Bazyljanom i Standystom.

Oczywiście, kierownictwo naczelne spoczywa w rękach tego zakonu, który złożony z ludzi inteligentnych, od wieków stanowi tradycyjną kadrę polityków i dyplomatów Kurji Rzymskiej.

Dziś, gdy podjęła ona próbę wskrzeszenia nieudałego dzieła Jezuitów w Polsce na schyłku XVI w. — Unji Brzeskiej, na dobie będzie przypomnienie historyczne, które rozwinięciem myślowem rzuconej paraleli wyjaśnić może wiele ważnych momentów z dziejów naszej Ojczyzny po dzień dzisiejszy.

I.

Uczeń Jezuitów polskich, wybitny działacz okresu Sejmu Czteroletniego, wraz z Dąbrowskim organizator Legjonów za Dyrektorjatu, autor tekstu „Mazurka", co w Polsce Odrodzonej stał się hymnem narodowym, słowem Józef Wybicki tak mówi o swych wychowawcach w „Pamiętniku" (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1905; Tom. I, str. 39): „Jezuici, w innych krajach oświeceni, u nas w grubej niewiadomości"... „myśleć nie mogli, nawet zakazywali". Wybicki, czyniąc taki rewenans w stronę Jezuitów zagranicznych na niekorzyść polskich, nie zdawał sobie chyba sprawy z pozornej jeno wartości tej różnicy, ze spiritus movens umysłowości jezuickiej, niezależnej w swej istocie od wyższego czy niższego stopnia wykształcenia danego ojca, bo przesyconej moralnością „dyplomatyczną", uwieńczoną w określeniach: „uśmiech jezuicki", „odpowiedź jezuicka", „przebiegły jak Jeuita"... A jak ich maluje apologeta chrystjanizmu, genjalny Pascal w swych „Prowincjałkach"?... A już w wieku powstania zakonu, w XVI-ym, ten znany dwuwiersz:

O vosqui cum Jesu itis,
Ne eatis cum Jesuitis!

(wy co idziecie z Jezusem, nie idźcie z Jezuitami).

Jezuita, któryby wyrzucił na chwilę z „fałdów sumienia" swego sławetne *reservatio mentalis* (zastrzeżenie w myśli), przyznałby, że sposób myślenia i działania członków Tow. Jezusowego, bez względu na ich narodowość, był i jest jeden, niezmienny, raz na zawsze w kodeksie organicznym *(Constitutiones)* założyciela zakonu Ignacego Loyoli, A. D. 1540 określony, ustalony i czwartym ślubem zakonnym, poza trzema zwykłemi: *bezwzględnego posłuszeństwa papieżowi*, przypieczętowany. Ten nakaz zaciężył fatalnie i na tych dziedzinach pracy Jezuitów, gdzie w swoim czasie położyli niewątpliwie zasługi dla cywilizacji (szerzenie oświaty, nauka, działalność misjonarska, akcja samarytańska podczas epidemij).

Wobec faktu istnienia tak znakomicie zorganizowanej i wydyscyplinowanej międzynarodówki, jaką jest Tow. Jezusowe, przywiązywać wagę do drobnych cech odmiennych Jezuity polskiego, francuskiego, niemieckiego, hiszpańskiego czy włoskiego, uwarunkowanych pochodzeniem, temperamentem czy stopniem wykształcenia, jest dziecinną naiwnością. Intelekt i etykę każdego z nich urabiała ta sama tradycyjna recepta.

A jakiż z tego wniosek?

Jeuita, będąc w swym katolicyzmie przedewszystkiem podporą tronu papieskiego, jest i musi być tylko patrjotą katolicko-papieskim, nie może być, nie wolno mu być żadnym innym. Jeżeli Francja katolicka będzie walczyła z katolickiemi Niemcami (Wojna Trzydziestoletnia), Jezuita francuski nie może uważać za swego przeciwnika Jezuity niemieckiego — nie w imię chrystusowej miłości bliźniego, lecz dlatego, że Jezuita ma w istocie jedną tylko ojczyznę: Rzym papieski.

W tej solidarności i karności leży niewątpliwie wielka siła zakonu, a przez to nieoceniona korzyść z Tow. Jezusowego dla papiestwa — i w tem również tkwi źródło fatalnych skutków dla tych narodów, które pozwoliły tym pretorjanom stolicy apostolskiej stanąć zbyt blisko steru rządów w ich państwach.

Obraz takiej lekkomyślnej, szkodliwej dla żywotnych interesów narodu uległości ze strony najwyższej władzy dla agentów Rzymu, w dobie gdy zaczął trzeszczeć w spoidłach potężny jeszcze wówczas polski gmach państwowy, za zbyt długiego panowania pół-Szweda, pół-Jagiellona, — dzisiaj, wobec wznoszącej się w Polsce z każdym dniem wyżej fali klerykalizmu, dzieje nasze w przypomnieniu przed oczy nam stawiają.

***

Znakomity kaznodzieja, Piotr Skarga był patrjotą w granicach, jakie jego patrjotyzmowi wyznaczała przynależność do Tow. Jezusowego. On sam je zresztą wyznaczył słowami: "Pierwej Kościoła i dusz ludzkich bronić, niźli Ojczyzny, bo jeśli ta ziemska ojczyzna zginie, przy wiecznej się ostoim". Takich słów nie wypowiedziałby nigdy patrjota, człowiek świecki. I nie był nim Paweł Popiel, gdy w trzysta lat potem powtarzał niemal dosłownie postulat Skargi w swych pamiętnikach, szczerze i dobitnie oświadczając, że „Źleby mnie jednak zrozumiał, ktoby mniemał, że ostatecznym celem moim była sprawa narodowa, a środkiem wiara. Odwrotnie, wiara, kościół, jako odnoszące się do ostatniego przeznaczenia człowieka, mają pierwszeństwo i temu celowi całe moje poświęciłem życie i pracę" (str. 80).

Ale Paweł Popiel był tylko arcytypem polskiego konserwatysty i nie odegrał żadnej roli w historji swej ojczyzny — gdy tymczasem ks. Piotr Skarga, przez lat 24 kaznodzieja królewski i sejmowy na 18 sejmach, płomienny mówca, który „wszystkie oświecał swą wymową" (Birkowski) był człowiekiem, na świecznik wpływów wyniesionym i dzięki temu, mimo samowładczych dążeń swego monarchy, inspiratorem polityki królewskiej wewnątrz i nazewnątrz państ-

wa. Równie fanatyczny katolik, jak Zygmunt III, nie mógł się oczywiście nigdy zdobyć na to, by postawić polską rację stanu ponad interesy katolicyzmu. Dlatego nie może strawić zabezpieczających swobodę sumienia uchwał Konfederacji Warszawskiej z r. 1573, zwołanej podczas Sejmu Konwokacyjnego po śmierci ostatniego Jagiellona, i w 7-em Kazaniu Sejmowem „O Prawach Niesprawiedliwych" *uderza na prawo o tolerancji religijnej*, nazywając je „bezbożnem". Zabiegi Skargi o zawarcie Unji Brzeskiej to przedewszystkiem zabiegi o rozszerzenie duchowego stanu posiadania Rzymu. Mąż stanu, a nie fanatyk kościoła rzymskiego zrozumiałby, że konsolidacja państwa, z różnoplemiennych ludów złożonego, mając już podwaliny w Unji Lubelskiej, wzmogłaby się znakomicie przez polityczne równouprawnienie z rzymskim kościoła greckiego, liczącego na ziemiach litewsko - ruskich Rzplitej miljony wyznawców. Wtedy, dopuściwszy wyższe jego duchowieństwo do senatu, możnaby było zabrać się do podniesienia poziomu kleru kościoła wschodniego, który w dobie Synodu Brzeskiego znajdował się w beznadziejnej sytuacji. Zamiast tej rozumnej, z interesem państwa zgodnej polityki, co zrodził fanatyzm katolicki Jezuitów?... dał w Unji twór poroniony — źródło fermentu religijnego na ziemiach wschodnich Rzplitej i podważenia jej prestiżu państwowego. W rezultacie: fronda ambitniejszych „dyzunitów" i oparcie się ich o Zaporoże, a wreszcie o Moskwę, której kiedyś upośledzenie polityczne tych obywateli państwa polskiego posłuży za parawan do przeprowadzenia jej planów zaborczych na ziemiach osłabionego sąsiada.

Jak wysłannik papieski, Jezuita Possewin, forsując pokój, udaremnił Batoremu wyzyskanie sukcesów w wojnie z Iwanem Groźnym (chodziło, jak wiadomo, stolicy apostolskiej o zjednanie sobie cara, w nadziei zawarcia unji kościelnej z Moskwą) — tak Jezuita Skarga pośrednio przyczynił się również do przyszłego rozwoju potęgi Rosji — tworzeniem kościoła unickiego we wschodnich prowincjach Polski.

Takie były skutki arcykatolickiej polityki Skargi w stosunku do jednego z przyszłych rozbiorców państwa Polskiego!

A jakże wyglądała ta polityka w stosunku do drugiego rozbiorcy, do niemieckiego cesarstwa Habsburgów?...

Kiedy stary kanclerz, patrjota Zamoyski wezwał do tłumaczenia się przed słynnym „Sejmem Inkwizycyjnym" króla - intryganta, który, dwukrotnie żonaty z „Austrjaczkami", dopuścił się wejścia w konszachty z arcyksięciem o ustąpienie mu korony polskiej, — czy patrjota Skarga przyłączył się do wzburzonych postępowaniem Zygmunta posłów sejmowych?... Historja o tem milczy.

Wprawdzie nie żył już od lat sześciu Skarga, gdy wybuchła Wojna Trzydziestoletnia, która zaczęła się dla domu rakuskiego zniewagą (wyrzucenie w Pradze przez okna zamku namiestników cesarskich), a skończyła zgnieceniem na zawsze habsburskich ambicji wszechniemieckich (Traktat Westfalski), jednakże żyły jego poglądy polityczno - religijne, wpajane przez ćwierć wieku, w królu, i za stanowisko, jakie zajął Zygmunt Waza w sprawie Śląska w związku z Wojną Trzydziestoletnią, odpowiedzialny jest przed historją Polski ten, który, słusznie gromiąc różne wady rodaków w życiu politycznem, osobiście czcigodny, nie miał jednak żadnych kwalifikacji na męża stanu, a w wielu momentach de facto kierował polityką potężnego państwa, które dzięki pomyślnym konjunkturom (wojny religijne na Zachodzie) mogło było zająć czołowe stanowisko w ówczesnej Europie.

Zygmunt III, jak wiadomo, zawsze aż ponad interesy państwa lojalny wobec cesarskiego rodu swych obu żon, nie skorzystał oczywiście ze znakomitej okazji odebrania Niemcom prastarej piastowskiej dzielnicy, okazji jaką nastręczała chwila, gdy wielki wódz Północy, Gustaw Adolf ze swą świetną armją ruszył na pomoc protestantom niemieckim i zaczął bił wojska cesarskie. Zygmunt był głuchy na błagania biskupów wrocławskich i nakaz polityki narodowej: zbrojnej okupacji i przyłączenia Śląska do macierzy; wolał skazać tę, niszczoną przez obie walczące strony, dzielnicę polską na zniemczenie, niż naruszyć swą neutralność w olbrzymich zapasach katolików z protestantami inaczej, jak przez posłanie cesarzowi oddziału Lisowczyków. Tą symboliczną raczej niż faktyczną pomocą dla Habsburgów (na inną szlachta, choć katolicka, jednakby nie pozwoliła) pokazał dowodnie potomności, jak mu osłabienie cesarstwa niemieckiego, odwiecznego wroga Polski, leżało na sercu.

Cóż?... Był przedewszystkiem katolikiem, potem Szwedem, wreszcie, niestety, polskim królem.

Zaiste, nie jest bez znaczenia dla poznania psychologji Polaków fakt, że gdy wspaniała postać Jana Zamoyskiego, mądrego patrjoty i męża stanu na wielką miarę, nie doczekała się upamiętnienia narodowi jej zasług w godnym ich monumencie — z błahej ostatecznie racji wywyższenia Warszawy, posąg, wprawdzie z wielkim krzyżem w ręce, ale jednego z najgorszej pamięci królów Polski wieńczy kolumnę przed Zamkiem w jej stolicy!

(Dok. nast.) *Wacław Rogowicz*

„ŚMIERCIĄ WSZYSTKO ZBAWIĘ"

Gimnazjum owemu patronował Słowacki, lecz żył w niem i duch Wyspiańskiego.

Ten pierwszy siedział w auli, biały, kamienny, w fałdach romantycznego płaszcza i słuchał codzień młodej, ciepłej wrzawy dziewczęcych głosów — zapatrzony — niewiadomo — w przeszłość czy w przyszłość. U nóg jego, żółtawemi wgłębieniami liter biegło westchnienie: „Żeby choć jedna pierś była zrobiona..."

Ten drugi, raz do roku w listopadowy wieczór uchylał wieka swej trumny na Skałce, by słuchać nie czyich innych jak własnych słów, płynących z małej, prymitywnej scenki dalekiego, lwowskiego gimnazjum.

Imię pierwszego, powtarzane było w nieskończoność na pieczątkach, napisach, zeszytach i książkach. — Imię drugiego, wykwitało raz do roku na kolorowych programach listopadowego wieczorku jak dziwny, tajemniczy kwiat.

Taka bowiem była tradycja, niewiadomo przez kogo zaszczepiona, że ów listopadowy wieczór urządzany rokrocznie przez najwyższą klasę, składać się winien z utworów Wyspiańskiego. Więc od pierwszej klasy, od chwili gdy po raz pierwszy stanęło się

w auli przed Słowackim, by odczytać niezrozumiały dla dziesięciu lat napis, aż po ósmą, gdy już tak dobrze i ten napis i tyle innych rzeczy się rozumiało, snuła się myśl o Wyspiańskim. Miał nadejść w ósmej klasie i przemówić naszemi ustami do młodszych — tak jak od lat przemawiał do nas ustami starszych. I nie myślało się: „W ósmej klasie będzie matura", lecz „w ósmej będzie Wyspiański", przedziwną intuicją młodości rzeczy wieczne stawiając wyżej od przemijających. Bieg tej myśli całemi miesiącami był podziemny, przytłoczony ciężarem deklinacyj, aorystów i równań. Ale dobywał się na powierzchnię i tryskał nurtem najczystszym wzruszeń o każdym listopadzie, gdy po salach i korytarzach snuć się poczynało echo jego słów, jak szelest skrzydeł Niki.

A przecież tak mało wiedziało się o nim w te lata! Portret jego nie wisiał na żadnej ścianie, i w żadnej czytance ani wypisach nie było o nim wzmianki! Trzeba było z dziecinnym uporem wertować w domu stare jakieś pisma, ilustrowane tygodniki i z trwożnem zdumieniem wpatrywać się w Kazimierza Wielkiego, świętego Franciszka, świętą Salomeę i w własną jego twarz, tak bardzo, tak zupełnie nieznaną. Trzeba było natrętnie pytać starszych o dziwną, nuconą przez nich piosenkę o złotym rogu i pawich piórach, a starsi mówili: „To z „Wesela" Wyspiańskiego; to za trudne dla dzieci — nic nie zrozumiesz". Więc tembardziej się o nim myślało.

To zaś było w tem wszystkiem najdziwniejsze, że choć tak bardzo daleki, nieomal legendarny, tak bardzo jednak był bliski.

Zjawiał się o jesieni — w tajemniczej glorji barw i świateł, greckich i krakowskich strojów, lub może w słomie i z skrzypką Chochoła, lub może w łkaniu i rozpaczy Marji, — w melodji, śpiewie i słowie. Mówił: „Kiedyś będziecie wolni". A nad światem huczała już burza.

***

Na dużej mapie w domu, przypinano szpilkami biało-czerwone malutkie chorągiewki i mówiono: Legjoniści są tu. I tu. I tu. Wojna trwała i trwała, i wszyscy ciągle mówili: wkrótce się skończy. Ale — nie kończyła się.

Jakiegoś lutowego dnia szło się z całem gimnazjum za trumną zabitego Marjana Czerkasa, a potem fotografję jego wyciętą z gazety wkleiło się do dzienniczka. Napisało się pod nią: „Cześć bohaterowi" i zaraz, w jakiemś zawstydzeniu, napis ten fioletowym ołówkiem się zatarło. Bo był przecież niepotrzebny, bo to i tak, samo przez się, każdy rozumiał.

W marcu wysłało się życzenia Komendantowi. Pani od przyrody podyktowała na godzinie adres: Pan poseł Jędrzej Moraczewski — Rada Państwa — Wiedeń — dla Komendanta Piłsudskiego. Wieczorem, przy pacierzu, dodawało się krótką, szeptaną modlitwę, najgorętszą, nieuczoną prośbę: by z Magdeburga wrócił.

Potem była jesień i liście poczynały żółknąć. W zeszytach wypisywało się nowe słówka greckie i łacińskie, ćwiczenia i tłumaczenia, i bało się szkolnych, matematycznych zadań.

Wtedy też, wieczorami, w domu, poczęło się czytać „Noc listopadową" i niewiedziało się już wkrótce w jakim właściwie świecie się żyje, co jest rzeczywistością, a co mitem! Nad wszystkiem zapanowało Jego przemożne słowo. I przyszła jakaś noc i jakiś dzień — i nocy i dni wiele, kiedy wyraźnie, jakżeż wyraźnie słyszało się wołanie Pallady:

Oto Ares, zwolony z pętów
uleciał z Olimpu bram
jako burza,
i opadł nad miastem sam,
a teraz przelatuje konny,
i krzyczy, i podjudza, i podburza...
Lećcie za nim! —

Na ulicach wrzał bój, bez przerwy huczały strzały i coraz więcej było grobów. Gdy zaś biegło się rankiem do szkoły, niewiadomo było nigdy czy się wróci, bo granaty siały po ulicach śmierć.

I tak się wtedy przedziwnie to wszystko splatało i łączyło, ten łoskot nieustanny, i męka oblężonego miasta, i wola niezłomna wytrwania i nauka, i Jego wiersze, że nie wiedziało się już, czy to śladami owidjuszowskiej Cerery, po całej ziemi się chodzi i córki straconej jej szuka, niosąc w ręku łuczywo zapalone od Etny, czy może jest się w Łazienkowskim parku, gdzie one obie, Kora i Demeter, wolno stąpają ujęte uściskiem, a świeci im łuna z Solca; czy też, naprawdę żyje się we Lwowie, gdzie chodzi śmierć po ulicach i gdzie coraz nowe na stoku Łyczakowskiego wzgórza rosną i rosną mogiły. Niewiadomo czy był to mit, czy rok trzydziesty, czy osiemnasty — jakkolwiek było, nieustannie w szumie ostatnich, spadających liści i w świście kul i w tętnieniu własnego struchlałego serca, brzmiała skarga Demetry:

„A te, zwarzone, kędyż legną —
imże w barłogu zimnym gnić? — "

I odpowiedź Kory:

„Umierać musi, co ma żyć!"

I myślało się wtedy, że chyba te wszystkie, po całej ziemi polskiej rozrzucone groby, układają się w litery, słowa, zaklęcie jakieś wielkie, które bije krzykiem o gwiazdy, i które czyta sam Bóg.

Wtedy też, dzwony z Akropolis wydzwoniły Wolność.

***

Nie jeden raz porosły świeżą darnią groby i było już rzeczą całkiem naturalną, zwykłą, codzienną, że jest Polska, gdy przyszła na nas kolej przemówić słowami Wyspiańskiego do młodszych.

Znowu była jesień i Kora schodziła do podziemia, gdy na małej scenie, zasypanej żółtemi, szeleszczącemi liśćmi, na tle czerwonych kotar, za któremi była szkolna kaplica, jawiło się w aureoli barw i grania Jego słowo.

I oto, gdy w czerwonej pożodze światła posłyszało się mocny stukot własnego serca i głos własny jakby z oddali wielkiej dochodzący, pojęło się w jakiejś niezmiernie krótkiej, ułamek sekundy trwającej chwili, sens najwyższy Jego wypowiadanych właśnie słów, przemożne zaklęcie grobów, wołanie i obietnicę:

„Śmiercią — wszystko zbawię!"

I pojęło się, gdzie w zadumie biały wieszcz patrzy: Nie w przeszłość, ani w przyszłość, ale w Dzisiejszy Dzień, który jakiegoś ranka, zaklęciem tem wywołany — przyszedł — i trwa — a w którym żyje śmiercią zbawiona — Polska.

Olga Ustupska

O WSPÓŁCZESNEJ FILOZOFJI POLSKIEJ*)

Nie poraz pierwszy poświęca autor uwagę i trud swój filozofji polskiej. Uczynił to poprzednio, zamieszczając w ramach obszernego, zbiorowego dzieła, wypełnionego bardzo różnolitym materjałem („Zamepisni obraz statistika", Praga, Vesmir 1929), artykuł o naszej filozofji. Sąd o niej był już w tej rozprawie wręcz entuzjastyczny. W pracy ostatniej prof. Tvrdy jakby chciał dociec przyczyn, uświadomić sobie i okazać dowodnie światu, dlaczego „polska filozofja zdobyła w filozofji europejskiej miejsce przednie i to zarówno rozmiarami produkcji, jak i cenną treścią swych dzieł".

Praca, o której mowa, stanowiła pierwotnie odczyt wygłoszony w Instytucie Słowiańskim. Tym jej charakterem usprawiedliwia autor okoliczność, że nie mógł nakreślić obrazu pełnego, że musiał dokonać wyboru osób i idej, ograniczyć się do filozofji głównie systematycznej, dotykając zaledwie lub zgoła pomijając pewne dyscypliny specjalne; zdaje sobie przytem sprawę, że np. sama choćby polska psychologja zasługiwałaby na osobną rozprawę. Tem również chyba tłomaczy się, że historja filozofji znalazła się niemal zupełnie poza nawiasem rozważań, w szczególności, że w nakreślonym przez autora wizerunku dzisiejszej polskiej myśli filozoficznej brak tak niezwykłych zjawisk, jak „Historja filozofji" Tatarkiewicza lub subtelne studjum Elzenberga o Marku Aureljuszu.

Prof. Tvrdy przystępuje do swego zadania świadom niebezpieczeństw, czyhających na badacza żywej, krystalizującej się dopiero myśli; wie, jak trudno uniknąć nadmiernego subjektywizmu, jak łatwo stracić z oczu właściwe proporcje, należytą perspektywę, jak wyczucie wartości bywa często niepewne, nieraz zawodne. Ażeby sprostać tym trudnościom, a zarazem wprowadzić ład w chaos prądów i idej, obiera za przewodni punkt widzenia „schemat socjalno - psychologiczny": z oddziaływania wzajemnego tradycji i podniet twórczych, z kontrastu dziedzictwa myśli i uczuć oraz sił nowych, z ich przenikania się i asymilacji, jako ich wypadkową, usiłuje wywieść każdy z centralnych kierunków.

Zwraca się zatem nasamprzód ku mesjanizmowi, jako temu prądowi, który sięga w tradycję narodową. Stąd pierwsza zasadnicza linja dzisiejszej filozofji polskiej: mesjanizm i wszystko to, co, choć z nim niezupełnie się pokrywa, nawiązuje do niego powinowactwem pierwiastków religijnych lub zgodnością nuty narodowej. Linja ta biegnie od teorji najwybitniejszego przedstawiciela mesjanizmu, W. Lutosławskiego, przez stanowiska Wizego, Żółtowskiego, Rubczyńskiego (choć autor dobrze widzi, co Rubczyńskiemu mimo głęboko katolickich pierwiastków jego filozofji, zapewnia postawę odrębną, różną od mesjanizmu), przez pozycje ks. Michalskiego, ks. Jakubisiaka, Garskiego. Linję drugą wyprowadza p. Tvrdy od Wł. M. Kozłowskiego, od tej zatem filozofji, która nie w tradycji, ale we współczesnej filozoficznej myśli upatruje podstawę filozofowania i, odwrotnie, tradycję usiłuje do tej myśli przystosować. Po obszernej tedy analizie teorji Kozłowskiego, baczną poświęca uwagę filozofji Znanieckiego, ażeby zamknąć tę linję pragmatyzmem Zieleńczyka. Z kolei, krócej już, charakteryzuje inne prądy, również poza tradycją czynne. Zatrzymuje się więc przed empirjokrytycyzmem Heinricha, któremu obok zasług na polu psychologji eksperymentalnej przypisuje „ścisły krytycyzm i objektywizm" w filozofji. Nie przeocza i znaczenia Kodisowej. Neokantyzmowi Massoniusa, a zwłaszcza Tatarkiewicza, jego filozofji wartości, usiłuje także oddać sprawiedliwość. Od Brentana wywodzi Twardowskiego, którego rozległy wpływ śledzi zarówno na terenie psychologji (Witwicki, Błachowski, Baley), jak i w dziedzinie logiki (gdzie współoddziaływują wpływy Russella). Zdobycze logiki polskiej ceni prof. Tvrdy szczególnie wysoko; tak szkołą warszawską (Łukasiewicz, Leśniewski, Tarski); odrębne stanowisko Bornsteina, jak i lwowską (Ajdukiewicz, Chwistek, Wolski, Czeżowski) z osobliwem zajął się zainteresowaniem.

Jako odrębne linje rozwojowe taktuje filozofję przyrody (Zawirski, Gawecki, Metallman), oraz radykalny realizm Kotarbińskiego. Następuje krótka zaledwie wzmianka o historji filozofji (Chmaj, Harassek, Heitzman, Krokiewicz). W ogólnym syntetycznym rzucie oka na całość, prof. Tvrdy konstatuje, że „bogata, energiczna i wszechstronna myśl filozoficzna polska zmierza od mesjanizmu, szerokiego i subjektywnego, gubiącego się w czystem wartościowaniu i używającego zamiast ścisłej mowy filozoficznej porównań i metafor poetyckich i religijnych, ku coraz rosnącemu objektywizmowi, ku filozofji logicznej, posługującej się językiem precyzyjnym; od spirytualizmu, nasyconego pierwiastkami religijnemi, indeterministycznego, zdąża do naukowego realizmu, deterministycznie ujmującego świat rzeczywisty". A dalej stwierdza, że „filozofja polska ma światowy rytm filozoficzny, niosący zwycięstwo ducha angloamerykańskiego i jego realnego ujmowania życia nad idealistyczną filozofją niemiecką". Stąd zapewne z mesjanizmu „zachowała się dziś tylko filozofja czynu, ale czynu realnego, wolnego od sentymentalizmu romantycznego, a przystosowanego do nowych zadań i nowych metod". I nie dlatego stawia autor filozofję polską za wzór czechosłowackim filozofom, że jest słowiańska, lecz dlatego, że im „dostarcza bogatej treści, mnogich zagadnień współczesnych i ich rozwiązań, dorównywując tem każdej filozofji zagranicznej".

Trudno o bardziej pochlebną opinję o naszym zbiorowym wysiłku na terenie filozofji. Nie śmiałbym rozstrzygać, czy zasłużyliśmy bez zastrzeżeń na takie pochwały; wolę pozostawić to innym, odemnie kompetentniejszym. Ale to pewna, że autor nie szczędził trudu, ażeby *uzasadnić* swoją opinję o współczesnej naszej filozofji.

Usiłował zaznajomić się z nią jaknajdokładniej; nie zadowolnił się studjowaniem osobno ogłoszonych prac, ale zapoznał się i z rozprawami rozsianemi po czasopismach; nie ograniczył się do publikacyj lat ostatnich, przeczytał i studja dawniejsze, ażeby uchwycić linję przewodnią ewolucji każdego z pisarzy; wypatruje momenty przełomowe rozwoju, śledzi krzyżujące się wpływy, dostrzega pokrewieństwa. Tem dziwniejsze, że w obrazie prądów nurtujących naszą obecną filozofję pozostawił lukę wcale znaczną, przeoczając fenomenologizm, który tak dzielnego

*) *Josef Tvrdy:* Soudoba filosofje polskie (Współczesna filozofja polska), Praga 1932. Nakł. Słow. Inst. Odb. z III. Tomu „Rozpraw Słow. Instytutu".

ma rzecznika i obrońcę w osobie Ingardena. To niedopatrzenie płynie może z tego samego źródła, co i np. zaliczenie Chwistka do szkoły lwowskiej; ma podobną, być może, przyczynę, co i fakt, że autor, tak sumienny i bynajmniej nie skory do lekceważenia cudzego wysiłku, raczej przeciwnie, skłonny do przeceniania wartości rezultatów i zasięgu czyichś wpływów, nie dostrzegł zasług, a często nawet nazwisk K. Błeszyńskiego, Wł. Natansona, L. Petrażyckiego, E. Stamma, St. I. Witkiewicza, z młodszych A. Wiegnera; że wymienił zaledwie nazwiska J. Sleszyńskiego, M. Zdziechowskiego.

Przyczynę tę upatruję w okoliczności, że prof. Tvrdy, mimo, iż posiada dużą wrażliwość na to, co oryginalne i śmiałe, choć szczerze szuka nieprzemijających walorów każdej twórczości, nie cofając się wszakże przed (może nieco nieśmiałą) krytyką, choć analizować i referować pragnie objektywnie, oceniać bezstronnie, nie ma mocy wyzwolić się od sugestji pytania, gdzie i co kto *wykłada*. Wyobraźmy sobie, że jak ongi, filozofowie znów szlifują szkła, pracują po biljotekach i t. p. (co może nie najgorzej odbiłoby się na ich twórczości); czy nie to jest i pozostaje dla historyka jedynie istotne, co *jeszcze*, co *niezależnie* od tego o nich powiedzieć można? „Profesor" to dziś nie tylko zawód, to *szczebel;* a szczebel to sugestja, niemniej groźna niż pochodzenie i krew, jedna z tych, które najintensywniej przesłaniają głębsze stosunki i trwalsze wartości.

Zmysł i nerw historyczny prof. Tvrdy'ho, sumienność i rzetelność jego wysiłku, jego chwalebny objektywizm i duża znajomość naszej filozofji, wszystko to każe oczekiwać, że polska filozofja za niejedno jeszcze cenne studjum winna mu będzie wdzięczność.

Dr. J. Metallman

IDEAŁY KULTURY A PRĄDY SPOŁECZNE

Utwory nieprzemijającej wartości z dziedziny literatury pięknej z czasów porozbiorowych — społeczeństwo otoczyło pietyzmem i pamięcią, utrwalając je i podając pokoleniom następnym w dostępnych wydawnictwach zbiorowych, natomiast dziedzictwo myśli naukowej z okresu niewoli, rozproszone i przechowywane w zaciszu wielkich bibljotek — często jest dla wielu niedostępne.

Oto powód, dla którego p. Bohdan Suchodolski podjął swój chwalebny trud w sporym tomie p. t.: „Ideały kultury a prądy społeczne" *).

Autor więc, pragnąc z jednej strony zetrzeć nierówności i krzywdy, z drugiej zaś spełnić obowiązek przekazania uporządkowanego spadku myśli o państwie, kulturze, społeczeństwie i jednostce — daje tę pracę w postaci wyboru fragmentów z piśmiennictwa XIX i XX wieku. Wypada jednocześnie podkreślić, oprócz szlachetnych intencji autora, jego całkowitą bezstronność pod względem doboru prac pisarzy, niezależnie od ich stanowisk religijnych, politycznych i społecznych. Obok nazwiska Jaworskiego widzimy Bohusza (Potockiego), obok Krzywickiego, Brzozowskiego, Limanowskiego także Dmowskiego, St. Grabskiego, E. Majewskiego. Oprócz wypisów z prac autorów żyjących, dostępnych i czytanych, znajdujemy wypisy z dzieł myślicieli, którzy znikli już z półek księgarskich, jak np. Hieronim Kajsiewicz, K. Libelt, St. Worcell, A. Cieszkowski, Hoene-Wroński i inni.

Przeprowadzając podział zagadnień, p. Suchodolski, starał się o celowe zestawienie różnych stanowisk pisarzy, ażeby w świetle krzyżujących się i często przeciwnych poglądów, czytelnik mógł niby na ruchomym globusie oglądać rzeczy i wyrabiać sobie historyczny na nie pogląd. Tak np. w rozdziale: „Czynniki rozwoju i sposoby organizowania życia zbiorowego", Bohdan Suchodolski daje wypisy z prac poniższych: Augusta Cieszkowskiego: Ojcze nasz (Paryż 1848) „Religijna teorja rozwoju dziejów", Ludwika Krzywickiego (1888, Idea i Życie) „Materjalistyczne pojmowanie dziejów", Edwarda Abramowskiego: „Pierwiastki indywidualne w socjologji" (1898). „Rozwijanie i przezwyciężanie materjalizmu dziejowego"; Stanisława Brzozowskiego: „Legenda Młodej Polski", Lwów 1910 (Potrzeba historycznej woli), Stanisława Szczepanowskiego: „Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych", Lwów 1903, Fragmenty idealistycznej teorji dziejów; Stanisława Krzemieńskiego: Zarysy Literackie, Warszawa 1895 i Zygmunta Wasilewskiego: „O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej", Warszawa 1921.

Ten sam plan autor przeprowadza w rozdziałach, dotyczących konserwatyzmu i radykalizmu, katolicyzmu i nacjonalizmu, socjalizmu i ideologji ludowej. Zamykają dzieło, mówiąc: Artur Górski o człowieku, Florjan Znaniecki o społeczeństwie, Wacław Makowski o państwie i wreszcie Józef Piłsudski o problemie demokracji.

Na całość tomu składają się wypisy z prac czterdziestu ośmiu autorów, jednocześnie zapowiedziany jest tom następny p. t. „Kultura i osobowość". Czytając ten wybór pism niewątpliwie pożyteczny w wysokim stopniu, czasami nasuwa się uwaga krytyczna pod adresem autora, dlaczego ta lub owa praca uwzględniona została, inna zaś nie, lub jeszcze nie, ale są to mało znaczące szczegóły i nie chciałoby się przez to w najmniejszym nawet stopniu osłabiać wagi tej szlachetnej inicjatywy, ani pomniejszać znaczenia tego wielkiego wysiłku wydawniczego.

Jednakże jedno zastrzeżenie natury praktycznej wyrazić trzeba, mając właśnie na względzie stopień pożyteczności książki, którą chciałoby się widzieć rozchodzącą się w tysiącach egzemplarzy i docierającą do cichych i dalekich zakątków pracy pedagogicznej i kulturalnej.

Autor przekazać pragnie ten dorobek myśli — jak sam powiada w wstępie do dzieła — „nie tym n i e l i c z n y m uprzywilejowanym mieszkańcom wielkich miast, ludzi, mających czas, możność i konsekwentną wytrwałość szukania", ale dostarczyć „do rąk prawdziwego spadkobiercy — narodu". Siłą popędową w tym kierunku i kołem obrotowem jest przedewszystkiem nauczycielstwo, w swej olbrzymiej większości niezamożne, albo wprost ubogie. Tymczasem jeden tom „Ideałów kultury" kosztuje czternaście złotych i jest dostępny znów tylko dla „tych nielicznych uprzywilejowanych", dla pozostałej zaś reszty będzie tylko pożądanym przedmiotem za szybą wystawy księgarskiej. Czy wobec wszystkich względów powyższych nie wartoby pomyśleć o jakiemś zeszytowem taniem wydaniu zapowiedzianego tomu drugiego?

Lucjus

*) Bohdan Suchodolski: „Ideały kultury a prądy społeczne". Nakładem „Naszej Księgarni Związku Nauczycielstwa Polskiego", str. 519. Warszawa, 1932.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Konferencja rozbrojeniowa w Genewie dogorywa. Dyplomaci, którzy radzą o jej losach poufnie, zastanawiają się tylko nad tem, w jaki sposób ją zlikwidować, czy z „protokółem", czy bez protokółu, czy zostawić po niej następcę w rodzaju jakiejś nowej komisji.

Dla szerokiej opinji są to rzeczy dosyć obojętne. Jedyne, co zostanie naprawdę, to uchwały jednomyślnie potępiające bombardowanie z powietrza, wojnę z pomocą bakterji i t. p. poszczególne gatunki załatwiania sporów siłą zbrojną. Rezolucje te zresztą będą miały charakter tylko „zasadniczy", bo nie będą zaopatrzone w żadne obowiązujące konwencje.

W tym samym czasie, gdy szykuje się mumifikacja konferencji rozbrojeniowej na łamach niemieckiej „Militär Zeitung" ukazują się ogłoszenia firmy angielskiej Wickers-Armstrong, polecające klijentom „broń wojenną różnego gatunku", tanki, działa i t. p.

Jeden z dostojnych członków izby gmin oburzył się i zainterpelował „rząd J. K. Mości, czy mu wiadomo o tem, że angielska firma amunicji i broni reklamuje swoje wyroby na rynku niemieckim, podczas gdy według traktatu Wersalskiego wwóz broni do Niemiec, zarówno jak wywóz są wzbronione".

Rząd p. Mac Donalda odpowiedział, jak zwykle enigmatycznie, że o ile mu wiadomo, wywóz broni do Niemiec nie odbywa się.

Interpelanci byli z tej odpowiedzi zadowoleni. A jednak odpowiedź nie była wcale zadawalniająca.

Wychodzący w Monachjum organ pacyfistyczny „Das Tagebuch" zwraca uwagę, że gdyby nawet tak było, jak to oświadczył rząd angielski, to i wówczas nie można byłoby zadowolić się tem wyjaśnieniem. Jeżeli bowiem taki rekin uzbrojenia, jak firma Armstrong i Wickers wyrzuca pieniądze na reklamę tam, gdzie w danej chwili nic sprzedać nie może, to dowodzi, że liczy ona na dochody w przyszłości, a więc liczy na to, że jej „wyroby" będą miały popyt na rynku niemieckim. Przecież niema sensu reklamować tanki — pisze „Tagebuch" — tak, jak reklamuje się maszynki Gillette'a, perfumy Coty'ego i samochody Forda. Jedyny sens tej reklamy — i to trzeba było odpowiedzieć interpelantom — to podtrzymywanie ducha militaryzmu".

Na tem właśnie przemysłowi wojennemu na całym świecie bez różnicy narodowości i wyznania jednakowo zależy.

Dodać do tego trzeba, że kto wie, czy różne Stahlhelmy i bojówki wielu odmian, grasujące po Niemczech, nie są klijentami firmy p. Bazylego Zacharowa („Wickers i Armstrong") i czy szanowni dżentelmeni angielscy lokujący tam swe kapitały, nie obcinają kuponów od zbrojeń „wewnętrznych" niemieckich.

W każdym razie incydent z ogłoszeniami Armstronga w wojskowej gazecie niemieckiej winienby znaleźć szeroki rozgłos na świecie, nie powinien zaginąć w woluminach sprawozdań stenograficznych z izby gmin na łamach „Times'a".

***

Po 16 dniach przesilenia nastał wreszcie w Rzeszy Niemieckiej rząd gen. Schleichera.

Faszyści międzynarodowi, a także i swojscy są w kłopocie, co z tym „nowym człowiekiem" zrobić. P. Cat w „Słowie" już bił pokłony przed mądrym, starcem, który na złość całej opinji niemieckiej chciał utrzymać przy władzy von Papena. Nagle „starzec" zachwiał się, nie chciał się dłużej upierać i, wprawdzie niezmiernie serdecznie, ale pożegnał się z Papenem.

Należałoby więc wyrazić ubolewanie, że „wielki reformator konstytucji" i „pogromca konstytucji parlamentarnej" odszedł i stracił zaufanie do sędziwego prezydenta Rzeszy.

Aliści, budzi się nadzieja, że generał będzie lepszy od barona i że potrafi „zgniły parlamentaryzm" w sposób bardziej przebiegły wyprowadzić w pole i zgnębić.

Istotnie generał Schleicher robi taktyczne posunięcia, z których wynikać miało, że zdala od polityki rozstrzygnie sposobem jemu samemu tylko znanym zagadnienia socjalne i w ten sposób położy na obie łopatki demokrację. Do tego celu mają prowadzić fachowcy od spraw ubezpieczeń i bezrobocia w rządzie, rozmowy ze związkami zawodowemi, wzajemne komplementy kanclerza-generała z prezesem niemieckich związków zawodowych Leipertem.

Istotnie jest w tem wszystkiem pewien spryt, pewna wyższość nad wyniosłym baronem, ale... spryt nie zastąpi zrozumienia rzeczywistości i właściwej oceny zjawisk.

Leader socjal-demokratów niemieckich, którzy jak wiemy nie są zbyt trudni do kompromisów w imię t. zw. interesu państwa, p. Breitscheidt zapowiedział w „Vorwärtsie", że p. Schleicher może napewno liczyć na wrogi stosunek socjalistów, a jego tendencje socjalizujące nazwał „nie mającemi nic wspólnego z socjalizmem".

W temże piśmie nieznany autor przypomina, że generał Schleicher utrzymywał stosunki zarówno z kronprinzem, jak z socjalistami, z hitlerowcami, a nawet i z komunistami. Wszechstronność dla męża stanu chwalebna. Ale tak pisze tenże autor:

— P. von Schleicher jest inteligentny, ale uważa sam siebie za bardziej inteligentnego, niż jest w rzeczywistości, a często uważa innych za grupszych, niż są. Pomimo swojej łagodności socjal-demokraci, być może, będą zmuszeni pewnego dnia „ściąć mu głowę", o ile on im głowy nie utnie wcześniej. Gdyby to zrobił, uprzednio im dowiedzie, że czyni to tylko w ich interesie."

***

Poważny dziennik angielski „Manchester Guardian" w ostatnich czasach bardzo niepokoi się niszczeniem demokracji w Niemczech.

Dawniej był bardzo nieżyczliwy dla Polski, widział w niej przeszkodę dla pokoju w Europie i sądził, że lepiej zadowolić demokratyczne Niemcy kosztem reakcyjnej Polski, byle by zapewnić pokój na świecie. Dziś już nie podziela tych złudzeń, ale o przyszłości Polski snuje rozważania bardzo pesymistyczne.

Rozważając zagadnienie stosunków polsko-niemieckich „Manchester Guardian" pisze:

— „Żaden kraj w Europie nie ma przed sobą przyszłości tak niepewnej jak Polska. Nikt nie ośmieliłby się powiedzieć, że za 10 lat nie będą istniały Niemcy; ale kto z całą pewnością powie, że za 10 lat jeszcze będzie istniała Polska? Ten kraj był w rozbiorach w przeszłości i może być znowu w rozbiorach. Grozi mu destrukcja od wewnątrz i z zewnątrz i tego dwojakiego niebezpieczeństwa nie może uniknąć inaczej, jak przez utrzymanie sojuszu z Francją i rozbrojenie Niemiec"...

Nie cytujemy dalej, bo i tak widać, jaka głębia pesymizmu ogarnęła publicystę angielskiego. Wiary w siły żywotne szerokich mas ludu polskiego, które jedynie gwarantują trwałość państwa, nie odbierają te wywody myśliciela z mglistego Albionu. Ale powinniśmy wiedzieć, jakiemi kategorjami myśli się tam o nas w obecnej chwili.

St. Gr.

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na I-y kwartał 1933 r.

Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma.

Do numeru niniejszego dołączamy blankiet P. K. O. (konto Nr. 26.630).

Prenumerata kwartalna — zł. 6.

LISTY DO »EPOKI«

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytałam w 8-ym numerze „Epoki" list od akademika Żyda. Głęboko poruszona, doświadczyłam tego samego bolesnego ucisku w sercu i takiego samego wstydu, jak parę lat temu podczas nieszczęsnych wypadków listopadowych w Krakowie, kiedy to idąc wraz z mężem ulicą św. Tomasza, byłam świadkiem bicia Żyda przez jakiegoś opryszka. Byliśmy bezradni — sami w ulicy. Wszyscy nieliczni zresztą przechodnie poginęli z miejsca jak kamfora, a my, nim zorjentowaliśmy się co się dzieje, zaelektryzowani zobaczyliśmy taką scenę: na środku ulicy stał rozparty krępy mężczyzna lat około 24, typowy rzeźnicki czeladnik i walił kijem po plecach słaniającego się chasyda — szczupłego, wątłego, który blady z przerażenia, omal zielony, giął się w dziesięcioro — ręce błagalnie składał i przerywanym ochrypłym głosem skamlał „aj waj". Wystraszonym do niemożliwości wzrokiem szukał pomocy.

Nigdy nie zapomnę tej powyginanej ze strachu i bólu postaci — tego głosu zadyszanego — tych spojrzeń błagalnych — tego echa razów wydobywających się z płuc nieszczęsnego — wśród niesamowitej ciszy ulicy — a nad tem wszystkiem uosobienie brutalnej siły, chamstwa i okropności. Oto scena rozgrywająca się w przyczajonej ulicy, której sztafażem był u jej wylotu tłum zbity i mrukliwy, zgromadzony na Placu Szczepańskim.

Nieraz w życiu zdarzyło mi się płakać „na wewnątrz" i tym razem serdeczny ból pomięszany ze łzami i wstydem spłynął ku wewnątrz.

Nawołujące gwizdy od strony groźnego tłumu wezwały brutala, który rozjuszony, porzucając ofiarę i orjentując się jeszcze w ostatniej chwili, że chcemy interwenjować — skierował ku nam grożąco pięści. Żyd skorzystał i potykając się o własną jupicę, zginął za rogiem ulicy. Nas wciągnięto do jakiegoś sklepu i spuszczono natychmiast żaluzję.

Od tego czasu dzieci moje słyszą często, jeśli poruszane są kwestje żydowskie: „Ach dzieci, trzeba raz widzieć to, co ja widziałam z tatusiem, żeby raz na zawsze wyzbyć się wszelkiej nienawiści".

Oto wspomnienie wzbudzone listem p. akademika. A teraz drugi przeżyty epizod, nie dawniej jak tego roku w zimie, w Zakopanem.

W piękny słoneczny mroźny dzień wybrałam się wraz z braterstwem spacerem saniami na Cyrlę (brat w mundurze majora W. P.). Mimo słońca zimno nam było porządnie i na Cyrli postanowiliśmy rozgrzać się szklanką gorącej herbaty. Góral wskazał nam zajazd pod „Siedmiu Kotami". Weszliśmy do izby pełnej ludzi, usiedliśmy przy stole, gdzie były jeszcze trzy miejsca wolne. Teraz rozglądnąwszy się wokoło, spostrzegliśmy, że jesteśmy wśród samych Żydów, prawdopodobnie akademików — narciarzy. Obok przy drugim stole dwie panny i kilku mężczyzn głośno, aż nazbyt głośno się zachowywali, co przeszło w wyraźną z ich strony prowokację. Panna usiadła na stole, jeśli nie powiem, że rozwaliła się prowokacyjnie, zaczęła śpiewać i wydzierać się umyślnym falsetem obmierzłym kupletem, rzucając porozumiewawcze i kpiące spojrzenia w naszą stronę. Coraz więcej takich spojrzeń i domyślników: „Jesteśmy w mieszanym towarzystwie", — mówiła przeciąganym z żydowska tonem. Poczęto to powtarzać, spozierając na nas. Sytuacja stawała się kłopotliwa, we mnie się już gotowało. Bratowa truchlała, aby brat nie stracił panowania. Wyraźne niskie korzystanie z sytuacji. Większość była żydowska, około 30-tu osób, a nas tylko troje — jeden wojskowy, 2 kobiety. Przez mózg przelatywały mi najrozmaitsze pomysły — chciałam wstać i odezwać się przyjaźnie, — ludzie, a specjalnie Żydzi potrafią ocenić trzeźwą myśl. Gdyby nie ten brat wojskowy! Opuścić naraz lokal było też trudno. Poważnie piliśmy herbatę a trzech żydowskich młodzieńców przy naszym stole, widocznie zaniepokojonych sytuacją, starało się z tąż samą powagą zrównoważyć położenie. Wyraźnie nasze zachowanie bez zarzutu utemperowało atmosferę. Wyszliśmy godnie — ale z jakimż uczuciem świadomej otaczającej nas nienawiści! A cóż by to dopiero działo się, gdyby jedno z nas przestało nad sobą panować?

Ożywiona do głębi pacyfizmem — oburzona ostatniemi ekscesami wśród akademików, jakież teraz miałam myśli... Nie trudno zgadnąć. Kiedy opowiedziałam to zdarzenie znajomemu, powiedział: dzięki Bogu, że z paniami był brat pani, znany gentelman, bo jabym strzelał (świetny obraz obecnej atmosfery).

Paralela, może ktoś powiedzieć, nieco słaba — tu pobito, a tu tylko prowokowano. Tak, ale wyraźnie zaznaczam, że gdyby nie nasze panowanie i sposób zachowania, stałoby się coś najfatalniejszego.

Tam była masa bezmyślna, a mściwa i tu była większość bezmyślna i mściwa. Może pan akademik, któremu współczuję i potępiam czyn Polaków, przeczyta ten list, niechże w nim znajdzie odpowiedź czy ma nienawidzieć Polaków — czy też ma obowiązek mimo pobicia go przez Polaków pracować na niwie **godzenia i pojednywania.**

Wychowujmy się wzajemnie, a nie zaostrzajmy sytuacji.

M. Z.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani I. M. w Zakopanem. Zamieścimy w następnym numerze „Epoki".

Panu Ign. Telechunowi w Warszawie. Dziękujemy za życzenia. Tak właśnie rozumiemy nasze zadanie.

Panu Mieczysławowi Zawadzkiemu w Częstochowie. Projekt Ustawy bibljotecznej, dawno sporządzony i przez zawodowe zrzeszenia literackie uzgodniony, spoczywa w komisji sejmowej i nie może się doczekać „wejścia pod obrady".

Panu J. L. w Piotrkowie. Będziemy nadal uprawiali to „szaleństwo". Tak: bez ordynarnych sensacji i bez magnesów erotycznych.

EPOKA

niezależny posterunek myśli humanitarnej, placówka, broniąca praw człowieka i obywatela, trybuna myśli wolnej i bezpartyjnej, pismo, oświetlające najżywotniejsze sprawy naszych czasów, lektura poważna, przystępna i wszechstronna.

EPOKA

daje czytelnikom obfity materjał do rozważań, zdaje sprawę z obecnego stanu rzeczy we wszystkich dziedzinach twórczości i pracy, wskazuje drogi wiodące ku lepszej pszyszłości.

W EPOCE

zamieścili dotychczas swe prace m. in.: *Boy-Żeleński, dr. F. Burdecki, Emil Breiter, Jadwiga Baranowska, Stanisław Czosnowski, St. Czeczelnicki, Marja Dąbrowska, Jan Dąbrowski, red. Witold Giełżyński, red. Stefan Grostern, dr. Włodzimierz Jampolski, Jerzy Kornacki, Zygmunt Kmita, prof. Edward Lipiński, Henryk Lukrec, dr. Jan Muszkowski, Marja Milkiewiczowa, Wanda Melcer-Sztekkerowa, Zygmunt Michałowski, Kazimiera Muszałówna, dr. Eug. Pragierowa, Wacław Rogowicz, Zygmunt Rusinek, Gustaw Simon, Janina Strzelecka, dr. Mieczysław Szerer, Leon Wasilewki, Józef Wasowski, Alfred Wilecki.*

WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE

Nakładem Gebethnera i Wolffa ukazało się kilka b. ładnie wydatnych, miłych i tanich książek dla dzieci i młodzieży.

Wśród nowości — arcywesoła i pogodna powieść Kornela Makuszyńskiego „Panna z mokrą głową"; również Makuszyńskiego do spółki (b. szczęśliwej) z M. Walentynowiczem „120 przygód Osiołka-Matołka" (film rysunkowy); A. Bogusławskiego „Mała Tereska" i Ewy Szelburg-Zarembiny „Moje wierszyki" z ilustracjami St. Bobińskiego.

Ze wznowień: „Ala w Krainie czarów" Carrola; Zofji Urbańskiej „Gucio zaczarowany"; Cecylji Niewiadomskiej „Powiastki króciutkie", Zofji Rogoszówny „Dzieci pana majstra" i „Wyprawa po skarby" M. J. Zaleskiej.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Helena Zakrzewska: Pojednanie. Opowieść o niedźwiedziu tatrzańskim. Z rycinami Leli Pawlikowskiej. Nakład Domu Książki Polskiej. Warszawa 1933.

Wacław Gąsiorowski. Dobosz woltyżerów. Powieść historyczna z epoki napoleońskiej. Z rycinami A. Gawińskiego. Nakład Domu Książki Polskiej. Warszawa 1933.

Pamiętniki bezrobotnych. (Nr. 1—57). Wydawnictwo Instytutu Gospodarstwa Społecznego. Warszawa 1933.

Roman Gul: Generał Bo. Powieść w 2-ch tomach. Przekład H. Pilichowskiej. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1933.

Zofja Meisnerówna. Srebrzysty namiot. Powieść. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1932.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Nr. 2816 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.